

Henryk Zarzecki - matematyk z powołania

Od najmłodszych lat nad jego losem czuwała liczba siedem, tak naprawdę nie wiadomo: szczęśliwa czy nie. Po prostu odznaczyła swoje piętno w jego życiu: była w dacie jego urodzin, rozpoczęcia pracy, dacie ślubu, a na koniec śmierci.

Henryk Zarzecki urodził się 27 sierpnia 1947 roku, w ciężkich powojennych czasach. Był jednym z pięciorga rodzeństwa rodziny Zarzeckich zamieszkałej na Bocianach. Wzrastał, a nieopodal rośła w siłę Szkoła nr 2 – jego szkoła. Kiedy skończył siedem lat, swoje pierwsze szkolne lata musiał spędzić w barakach przy ulicy Marcelego Nowotki. Kiedy w 1960 roku oddano nowy, pachnący jeszcze farbą budynek przy Armii Czerwonej, po cichu postanowił, że kiedyś będzie tu pracował.

Lata szkolne przeminęły - dzięki opiece wychowawczyni Leokadii Piekut i niesamowitym lekcjom fizyki dni mijały szybko. Po zakończeniu szkoły podstawowej (7-klasowej) młody Henryk kontynuował zdobywanie wiedzy w Gimnazjum i Liceum. Już w 1967 roku rozpoczął swoją pierwszą pracę. Jego marzenie spełniło się: został matematykiem w „Dwójce”. Szkoła Podstawowa nr 2 w Łapach w tamtym okresie przeżywała rozkwit, z racji miana szkoły wiodącej, na lekcje pokazowe zjeżdżali się nauczyciele z całego powiatu. Nobilitowało to nauczycieli, którzy bardzo starali się sprostać nałożonym im obowiązkom. A może w tej szkole była po prostu świetna kadra?

Henryk Zarzecki zawsze chciał być nauczycielem matematyki. Miał wielkie pokłady cierpliwości, mógł tłumaczyć zawiłości matematyczne do skutku. Schemat jego pracy był zawsze taki sam: dyktował nowy temat, stawał przy tablicy, pochylał głowę do przodu i tłumaczył. Na koniec pytał: wszystko jasne? Jeśli ktokolwiek nie potrafił załapać tematu, tłumaczył po raz kolejny. Opornym proponował zostanie na przerwie albo po lekcjach. Dla uczniów zawsze miał czas. Skąd to wiem? Byłam jedną z tysięcy jego uczennic i chociaż matematyczką nie zostałam, nie mam kłopotów z tą dziedziną nauki. (Alicja Korolczuk, rocznik 1978)

Swojej pracy nauczyciela matematyki poświęcił wiele. Trzy razy w czasie swojej kariery zrezygnował z nauczania: próbował swoich sił w kierowaniu Gminną Spółdzielnią, przez rok był komendantem Hufca ZHP w Łapach. Namówiono go nawet, by został zastępcą dyrektora szkoły. Żadnego z tych stanowisk nie piastował długo z bardzo prostej przyczyny: tęsknił do swojej pracowni, białej kredy i uczniów. Szczególnie tych ostatnich nie mógł odżalować, kiedy przeszedł na emeryturę. Brakowało mu kontaktu z młodzieżą, bo jak wspomniała mi jego żona, Wirginia Zarzecka, żył zgodnie ze swoją dewizą, że „z żywymi trzeba iść naprzód”.

Już po pięciu latach swojej pracy dostał pierwszą nagrodę Ministra Oświaty i Wychowania, po którą pojechał do Warszawy. Była to nagroda pieniężna za wybitne osiągnięcia dydaktyczno-wychowawcze. Bo też i osiągnięcia były niemałe: w Powiatowym Konkursie Matematycznym jego uczniowie zajęli 1 i 2 miejsce. Jego podopieczni pisali sprawdziany tzw. kuratoryjne tak dobrze, że kazano mu przeprowadzać je po raz kolejny. Za swoją pracę był wielokrotnie nagradzany przez Ministrów Edukacji, Kuratorów Oświaty, Dyrektorów. Otrzymał również odznaczenia państwowe - w 1991 roku odebrał najważniejsze, przyznawane przez Prezydenta Rzeczypospolitej: Złoty Krzyż Zasługi.

Jakim był wychowawcą? Spokojnym i wyważonym, nigdy nie chciał nikomu zrobić krzywdy. Uważał, że wszystko da się logicznie wytłumaczyć, w końcu był z logiką na ty. Nie lubił karać swoich wychowanków, długo patrzył winowajcom w oczy, pochylał się w ich stronę i cichym głosem żądał

wyjaśnień. Zawsze obstawał murem za swoimi wychowankami i tylko jeden jedyny raz ich zdradził: kiedy ośmielił się ożenić z młodziutką rusycystką, Wirginią Andrzejewską. Dziewczyny z jego klasy długo nie mogły mu tego wybaczyć, a wszystkie randki z ukochaną były podobno śledzone.

Jego wychowankowie dodają: był człowiekiem sprawiedliwym, nikogo nie wyróżniał. Karał wtedy, gdy było trzeba. Żartował, gdy był na to czas. (Ewa Mojsa, rocznik 1978)

Jego największą pasją było nauczanie, ale nie stronił od innych zajęć. Potrafił zrobić stołek albo szafkę w czasach, gdy w sklepach nie było mebli. Lubił przebywać na działce rekreacyjnej, ale jego relaks naznaczony była pracą. Oprócz dorodnych warzyw hodował przepiękne róże. Uwielbiał też zbierać grzyby, lubił chodzić po lesie. Już na emeryturze kupił sobie psa, który szybko stał się miłością jego życia. Oczywiście dopiero po żonie, dzieciach i matematyce.

Henryk Zarzecki był lojalnym kolegą. Kiedy poważnie zachorował jego mentor i przyjaciel, Jerzy Niewiarowski, pomagał mu we wszystkim, jeździł do szpitala, załatwiał leki. Ciężko przeżył jego śmierć. Kiedy sam był już bardzo chory, zobowiązał życzliwych ludzi, aby odnowili pomnik Niewiarowskiego na cmentarzu. Ta ostatnia jego inicjatywa tak wiele mówi o nim jako o człowieku: w obliczu swojej śmierci myślał o innych.

Henryk Zarzecki zmarł 27 grudnia 2007 roku. Według biblijnej symboliki liczba siedem oznacza całość, pełnię. Być może jest to znak, że nadszedł czas, by przypomnieć sylwetkę matematyka Szkoły Podstawowej nr 2 w Łapach, człowieka przyzwoitego i porządnego.

Alicja Zgajewska